Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 4. Poznań dnia 23. Kwietnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

Edward Spencer: O krajach naddunajskich, tudzież Krymie i Czerkiesach.

Kraje nad Dunajem i nad morzem Czarnem leżące, przed resztą Europy w grubéj aż dotąd ukrywały się pomroce; w ostatnich dopiero czasach zaczynają występować na jaśnią, i zajmować powszechniejszą uwagę ucywilizowanego świata. Dunaj jest ową pulsową żyłą i naturalnym kanałem łączącym tyle krain południowowschodniéj Europy. Przerzyna on znaczną część Niemiec, bujną ziemię węgierską, dotyka krańca budzącéj się z letargu Serwii, Wołoszczyzny i Multan, tworząc dalszym swym kierunkiem naturalną granicę dwóch wielkich państw.

Kraje naddunajskie byłyby bez wątpienia w kulturze europejskiéj ważniejsze zajęły miejsce, gdyby większa część téj rzeki wraz z ujściem, nie zostawała od kilkunastu wieków pod ciężkiem jarzmem barbarzyńców, nieumiejących cenić takiego natury dobrodziejstwa. Lubo Rzymianie nie byli narodem przemyślnym, poznali jednak ważność Dunaju, i sądząc go potrzebnym do swych wojennych wypraw, budowali na nim mosty, urządzali rożne przeprawy. W średnich wiekach przed odkryciem Ameryki i drogi morskiéj do Indyi wschodnich około przylądka Dobréj nadziei, wszelkie towary indyjskie lądem sprowadzano do portów morza Czarnego, zkąd przez Genueńczyków i Wenecyan rozwożone były po całéj Europie. Genueńczykowie posiadali tutaj nad brzegami morza Czarnego warowne zamki i miasta: głównem ich handlu siedliskiem była Kaffa, równie ważna w średnich wiekach, jak starożytne Dioskurias, którego ruiny dotąd widać w blizkości Sochum Kalek. Zgromadzali się tam kupcy, jak Pliniusz zapewnia, trzechset różnych języków, a Rzymianie zdobywszy to miasto, potrzebowali stupięćdziesiąt tłumaczów, aby się z nimi rozmówić mogli. Przytaczamy to dla tego, aby dać poznać, jak ważnem jest morze Czarne dla handlu wschodniego.

Lecz gdy handel wschodni inny wziął kierunek, a razem Turcy swe żelazne jarzmo wtłoczyli na karki przemyślnych mieszkańców, niedziw, że w krótce spustoszały ludne niegdyś porty, że podupadły bogate miasta i smutne dotąd przedstawiają zwaliska. W naszych atoli czasach zaczynają się znowu dźwigać i nowym zaludniać mieszkańcem. Ta szczęśliwa zmiana jest skutkiem rożnych stosunków politycznych i błogiego wpływu europejskiéj cywilizacyi. Para, jak wszędzie, tak i tutaj stała się najdzielniejszą téj szczęśliwéj zmiany sprężyną.

Południowo wschodnie kraje, ubogie wśród niewyczerpanych natury skarbów, uczuły potrzebę prędszego i pewniejszego odbytu dla swych płodów, a razem sprowadzania obcych z Czarnego morza. Już w téj chwili urządzono regularną żeglugę parową z Regensburga do Konstantynopola i Trapezuntu, a gdy jeszcze projektowany kanał połączy rzekę Men z Dunajem, a tem samem uiści olbrzymi plan Karola W. natenczas stykające się dwa wielkie morza nieobliczone przyległym krajom przyniosą korzyści. Rząd austryacki uznał całą ważność tak wielkiego przedsięwzięcia, i nie szczędzi zabiegów ani kosztów, aby zrównaniem koryta Dunaju, uczynić bezpieczniejszą niż dotąd żeglugę. Prawda, że handel ten dotąd jest jeszcze w kolebce; z tem wszystkiem jeżeli nieprzewidziane nie zajdą przeszkody, w krótkim czasie zakwitnie i niechybnie najbujniejsze prześcignie nadzieje.

W takim stanie rzeczy nie dziw, że się znaleźli mężowie, którzy już to wrodzoną powodowani ciekawością, już innemi skłonieni pobudkami, kraje te zwiedzali. I tutaj Anglicy nie dali się nikomu wyprzedzić. Już przed kilką laty wydał Quin swą: »Podróż na Dunaju«, a teraz Spencer wystąpił z nowem dziełem.*)

*) Travels in Circassia, Krim, Tartary etc. including a steam voyage down the Danube in 1836, by Edmund Spencer. London 1837. 2 tomy.

Zawiera ono wiele ciekawych i zkądinąd nieznanych wiadomości; a lubo autor używał, i poczęści wcielił w swą podróż dzieło niderlandzkiego konsula w Odessie P. Taitbout de Marigny: »Trzy podróże na morzu Czarnem i do brzegów Czerkassyi (Londyn 1837), i jak Anglicy wyrażać się zwykli, z bóta zrobił pantofel; to jednak wartości pracy P. Spencer bynajmniéj nie ujmuje.

Spencer wsiadł na statek parowy w Wiedniu r. 1836 i płynął Dunajem aż do Gałacza, miasta multańskiego, które w ostatnim czasie znacznie się podniosło i ważnem jest stanowiskiem dla handlu Dunajskiego. Tam już czekał inny statek większy i dogodniejszy do żeglugi na burzliwym Euxynie: nazywał się Ferdynand. Pomiędzy wielu podróżnymi, byli także studenci niemieccy, chcący zwiedzić Konstantynopol. Wszyscy mieli wyborny appetyt; jedli, pili i hałasowali bez przestanku, tak dalece, że pokład zdawał się być zamieniony na piwny burszowski komers. Łatwo sobie wystawić, że Anglik, przywykły do ścisłéj karności i klasztornego życia Oxfortckich akademików, krzywo spoglądać musiał na studentów niemieckich z półłokciowemi u palonych bótów ostrogami, nazywając ich rozhukaną, krzykliwą hałaśników zgrają. Ferdynand wpłynął ujściem Suline: jest to główne ramię wpadającego do morza Dunaju, stanowiące granicę pomiędzy Rossyą a Turcyą. Wszystkie brzegi Dunaju niżéj ujścia rzeki Prut, dla zaniedbanéj od kilku wieków uprawy, są teraz bagniskami, okrytemi chmurą nieczystych owadów, przykrych dla podróżnych, a nieznośnych dla kozaków tamże na straży osadzonych.

Okręt ten zatrzymany i przejrzany od urzędnika celnego rossyjskiego, w osobie Anglika, wśród ryczącéj burzy niegościnnego morza, skierował bieg swój ku Stambułowi.

Jeszcze panuje w Konstantynopolu ohydny zwyczaj przedawania kobiet publicznie na rynku. Że te biedne istoty w moralnym względzie wyzute są z wszelkiego godności swéj uczucia i wstydliwości, to ztąd się pokazuje, iż zupełnie na swój los były obojętne, a niektóre z nich śmiały się i żartowały jedne z drugich, kiedy od kupujących sposobem najobrzydliwszym oglądane i dotykane były. Spencer powiada, że się wydziwić nie mógł ich płochości: po dobiciu targu dziewczęta wziąwszy swe małe tobołki pod ręce, zawierające całą ich chudobę, zarzuciwszy na twarz zasłonę, szły spokojnie za swymi nowymi panami, nie okazując najmniejszego smutku ani obawy. Cena niewolnicy zależy najczęściéj od dowozu tego towaru. Czerkieski, Georgianki i Greczynki w najwyższéj są cenie. Georgianka kosztuje około 700, Abyssynka tylko 200, a czarna murzynka 70 do 100 tal. pruskich.

Z Konstantynopola puścił się nasz Anglik do wyspy Tenedos w towarzystwie pewnego węgierskiego magnata i tureckiego Agi z Lesbos. Wykąpawszy się w kryształowych nurtach Skamandru, zwiedziwszy równinę Trojańską i górę Ida, wrócił do Carogrodu i ztamtąd niebawem popłynął do Odessy, zkąd na rossyjskim okręcie udał się do Czerkies. Opisuje w dalszym ciągu najprzód wspaniały widok Kaukazu na wysokości Anapy, potem ważniejsze przystanie i zamki tego kraju, jako to Sudeczeck Kalek, Gelendczyk, Vadran, Pizunda, Sohum Kalek, Redut Kalek i t. d. następnie skreśla piękny obraz Czerkassów: niewyrodne kaukazkie plemie, silne i bitne, budowa ciała wysmukła przypomina nam greckie rysy i formy. Kaukazyanin jest zuchwały i zdradzający w każdym ruchu, w każdem słowie piętno niezatarte swobody i niezłamanego jeszcze zbytkami męztwa. S.

Literatura krajowa.

O współczesnych kompozytorach polskich.

(Ciąg dalszy.)

Ta własność muzyki, oddawania zmysłowo rzeczy nadzmysłowych okazuje się zaraz w pierwszym takcie kompozycyi do monologu Fausta, zaczynającego się od słów: »Wy duchy, które w koło mnie krążycie.« Ton harmoniki (cis) ma tu taki wpływ na umysł, iż czujemy się przeniesionymi w świat inny, w świat cudów, w świat ideałów.

Nie mogłem być w ów czas w Berlinie, kiedy przez tamtejszą akademiją śpiewów, któréj Dostojna małżonka kompozytora ofiarowała była kompozycye do Fausta, dzieła tego część większa wykonaną została; poprzestać więc muszę na sprawozdaniu jednego z najpierwszych krytyków niemieckich, wystawiającego, jakie wrażenie to dzieło wykonane dokładnie, na słuchaczu sprawić może.

»Nie wystawisz sobie« pisze on »ile mnie muzyka ta zachwycała: dawno już żadna kompozycya tyle mi nie sprawiła rozkoszy. Tu dzwięki harmonijne płyną ku mnie, jakby z nowo odkrytych szczęśliwych wysp, tu niebo błękitne, tu migające się promienie światła, tu ciepły wietrzyk, tu znowu naraz ciężki sirocco i drgające powietrze nawałnicy. Lecz i po nad zniszczeniem i rozpaczą, wieje dech świeży

i wonny, jak z ust dziewic wdzięków pełnych. Kocham się w téj muzyce, jest w niéj coś z faustoskiego świata, coś z najwyższéj ludzkości; jéj zmysłowe ramy dozwalają nam jasno poznać głębokość utworu poetycznego; ona dopiero romantycznemu i dramatycznemu ciału poezyi nadała prawdziwy wdzięk; tak właśnie jak piękna kształtna kibić w lekkiéj ulatującéj szacie najwyższe swe ponęty i wdzięki rozwinąć i okazać może«

»Pierwsza i ostatnia część jest, pod względem wpływu, jaki wywiera na słuchacza, najdoskonalszą; w niéj błyszczą i lśnią się same dyamenty! Jak pięknie do melodramatu akkordy powstają, jak się wznoszą w eteryczne arkady, jak pierwszy chor: »Chrystus zmartwychwstał« porywa, jak w chorze duchów obłoki się skupiają i zdają się rozpływać, jak jęk rozpaczy duszę naszę rozdziera, jak w **requiem** serca się podnoszą, a dusza z piersi wydrzeć by się chciała, — o tem wszystkiem, dość jest wspomnić«.

Wielu znawców zarzuca księciu: że fuga Mozarta, którą za introdukcyą obrał, niestósowna i nie w swém miejscu jest użyta. I nas w całéj kompozycyi nic tak bardzo nie uderzyło, jak ten numer, który w porównaniu z duchem poetycznym całéj kompozycyi, kościotrupem tylko być się zdaje. Lecz i téj fugi umieszczenie z pięknéj nam Radziwiłła okazuje strony, okazuje jak **kompozytor** był skromny. W uwerturze (tu introdukcyi) cała treść sztuki słuchaczowi do odganienia przedłożoną być powinna; odmalować **Fausta** niesądził się Radziwiłł zdolnym, obrał więc zamiast utworzenia własnéj kompozycyi, tę fugę Mozarta, która podług jego zdania najlepiéj wyobrażała myślącego, całe uniwersum zgłębiającego Fausta, i która jako fuga jest doskonała. Bezwątpienia byłby ks. Radziwiłł wiele jeszcze odmian w układzie całéj kompozycyi przedsięwziął, gdyby śmierć pracy jego niebyła przerwała. Zabierając go tak za wcześnie światu, sztuce, a szczególnie prowincyi, która tak bardzo czuje, co w nim straciła.

Lecz wróćmy się do tego, co nam dało powód mówienia o Fauście.

Po niemieckiéj, włoskiéj i francuzkiéj operze, żadna z dziś w zarodzie jeszcze spoczywających, pod pomyślnemi okolicznościami nie rozwinęłaby się piękniéj jak opera polska. Wzrastając z narodowéj pieśni, wyrównałaby pewno niemieckiéj i włoskiéj, przewyższyłaby francuzką. Zarody do niéj były i są piękne, lecz w śród nieszczęśliwych okoliczności i wśród zawału oper francuzkich i włoskich nie mogła rozkwitnąć.

Jakeśmy już wspomnieli, zawdzięczamy (oprócz Stefaniego) Kurpińskiemu i Elsnerowi te kilka oper, które posiadamy. Ci mężowie położyli tak wielkie zasługi w kształceniu smaku i pielęgnowaniu zamiłowania w muzyce, że powinnością naszą jest choć w krótkości w piśmie tém wspomnieć o ich zasługach i dziełach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Śmierć Józefa Zaremby, Marszałka konfederacyi wielkopolskiéj.

(Wyjątek z nieogłoszych dotąd drukiem Pamiętników do panowania Augusta III. i Stanisława Augusta).

Nim przystąpimy do opisu zgonu tragicznego, tego wsławionego w konfederacyi barskiéj człowieka, damy wpierw czytelnikom naszym krótki rys życia jego. Zaremba urodzony w Wielkiejpolsce, odebrawszy wychowanie domowe, oddany został w służbę wojskową do półku jazdy saskiéj, w którym dosłużył się wnet stopnia porucznika. »Jednego razu«, mówi autor wyżéj wspomnianych Pamiętników, »podczas exercerunku pieszego, jakoś nie do gustu generała stawiając nogi, usłyszał od niego te słowa: »WPan chodzisz jak niedźwiedź.« Uwiedziony żwawością przyrodzoną, rzekł generałowi: »Polacy nie są niedźwiedziami.« Za tę śmiałą odpowiedź natychmiast został w areszt wzięty, który wysiedziawszy podziękował za służbę; a rozumiejąc się być po takowem podziękowaniu wolnym kawalerem, wyzwał generała na pojedynek. Porwano go powtórnie w areszt, zamknięto w łańcuszki i podług artykułów wojskowych osądzono na rozstrzelanie. Za wielkiemi atoli instancyami panów polskich w Dreznie przy królu będących, otrzymał pardon, abszyt bez rekommendacyi i rozkaz wyjechania natychmiast z Saxonii. Powróciwszy do Polski do stryja, Szymona Zaremby, sędziego ziemskiego Sieradzkiego, z nauki prawniczéj wielce w kraju poważanego, połajany o złe zasługi w regimencie, zasadzony został od niego nad papierami prawnemi (jak sam powiadał), aby się uczył jurydyki, fortunę i honor dającéj. Lecz on niemający ochoty do takiéj namolnéj professyi, zabawiając się lulką i fuzyjką myśliwską, gdy takim sposobem nie do gustu stryjowi się sprawował, znienawidzony od niego, oddany został do półku podczaszego litewskiego Potockiego, przecież przez wzgląd na stryja w randze porucznika umieszczony. W krótce kompania ta, do któréj się dostał, została kommenderowana na Ukrainę przeciw Hajdamakom. W téj wyprawie tak się do-

brze popisował Zaremba, że tegoż lata został kapitanem, a niedługo potém i majorem. W téj randze otrzymał kommendę nad całą przeciw Hajdamakom partyą. Uganiał się za tymi hultajami przez trzy lata, zawsze szczęśliwie rozgramiając ich kupy, łapiąc wielu i według zwyczaju wieszając, lub na pal wbijając: co mu zjednało imię dobrego wojownika, jakoż w saméj rzeczy był takim. Ożenił się potem z Józefą Grodzicką, chorążanką wieluńską, wielkich cnót panną, a po śmierci stryja otrzymał na schedę swoję, z trzech braci, między którymi był średnim, majętność Rosprzą, miasteczko dwie mile od Piotrkowa, z kilku wioskami i trzykroć sto tysięcy w gotowiźnie.« Tu przytoczywszy autor niewspomniane w Rulierze i Ferrandzie niektóre czyny wojenne Zaremby, namieniwszy o jego dwuznacznem postępowaniu w całym ciągu konfederacyi barskiéj, i o opuszczeniu sprawy konfederatów, nie zadając mu bynajmniéj zdrady, tak zgon jego opisuje:

»Miał wielkie upodobanie za lada imaginacyą słabości używać kąpieli. Jednego razu wybierając się do Warszawy, wezwany od króla, kazał sobie w miasteczku swojem Rosprzy nagotować zwyczajną kąpiel mokrą. Brat jego rodzony Franciszek, łowczy sieradzki, znajdujący się przy nim, ganiąc wannę mokrą, zachwalał suchą i napomknął, iż u bednarza tamtejszego widział wannę nową osobliwą. Zaremba, właśnie jakby go śmierć kusiła, kazał wannę ową natychmiast do siebie przynieść. Bednarz jakimsiś instynktem wzbraniał się jéj wydać pod pozorem, że jeszcze niezupełnie ukończona. Zaremba niecierpliwy widzenia owéj wanny, posłał kaprala swego z dwoma kozakami nadwornymi, aby ją przynieśli; zatem przyszedł za nią i bednarz, który opowiedział i pokazał, jak ma bydź używana. Zaremba chciwy téj nowomodnéj wanny, wszedł do niéj naprzód w sukniach, a potem widząc, że jest w miarę jego, rozebrał się coprędzéj i usiadł nagi. Wieko zamykało się z wierzchu przy saméj szyi, tak, iż tylko głowa wychodziła nad wannę, a cały człowiek zamknięty, naparzany spirytusami pocił się w wannie. Obłożono go około szyi ręcznikami, aby para nie wychodziła, puszczano potrosze rurką przyprawioną do téjże wanny gorzałkę okowitę na cegłę rozpaloną, w naczyniu glinianem na dnie wanny podłożoną, która gorzałka smażąc się na cegle, ciepłą parą obejmowała siedzącego. Delektował się z razu Zaremba tym wyciągającym z ciała humory wynalazkiem. Lecz gdy chłopiec Zajączkowski, świecący kamerdynerowi, lejącemu przez léj do rury gorzałkę, przytknął świecę do flaszy półgarcowéj, a kamerdyner, sparzony zapaloną od świecy gorzałką, upuścił flaszę w léj, która się stłukła i gorzałka paląca się raptem buchnąwszy w wannę, sparzyła Zarembę, krzyknął z całego gardła i chciał wyskoczyć z wanny; lecz wieko tak się zaparło, że tłukąc się co siły po wannie i wrzeszcząc, nie mógł jéj otworzyć. Dodał większéj mocy ogniowi brat Zaremby Franciszek, gdy ręcznik okręcony około szyi oderwał. Albowiem płomień tym otworem wybuchnął i okrył całą twarz Zaremby, a zapaliwszy na głowie włosy, zwyczajnie tłuste od pomady, wzbił się w górę aż do pułapu nizkiego, którym widokiem przerażeni wszyscy, którzy tam byli, pouciekali na dwór, Zarembę nieszczęśliwego w owych płomieniach piekącego się odbiegłszy. Tak tedy kilkanaście minut gorzał. Aż przecie Lutosławski, gość wtenczas u Zaremby, wpadł do izby z siekierą, rozrąbał wannę i Zarembę z ognia uwolnił, lecz tak dobrze upieczonego, że kawały ciała przypsnęły do wanny. Obłożono go czemprędzéj śmietaną i drożdżami, poobwijano w prześcieradła i ręczniki. Tak obwinięty począł się przechadzać po izbie, jęcząc z wielkiego bolu i utyskując na swoje nieszczęście. Kazał wołać księdza. Lecz brat Franciszek pierwszy owéj wanny sprawca, wcale w takowym razie bez rozumu człowiek, począł mu perswadować, aby sobie aprehensyi nie dodawał: że tyle jest praktyk ludzi wydobytych z pożaru na pół upieczonych wygojonych. Dopiero on mając tylko skórę zwierzchu przepaloną, miałby na to umrzeć; radził mu, aby się napił wódki i położył w łóżku. Zaremba, że lubił wódkę, usłuchał brata. Lecz skoro wypił kieliszek, natychmiast począł się mieć gorzéj. Bo naturalnie uważając, ogniowi powierzchownemu przydał podniety wewnątrz. Położonemu w łóżku posłali po księdza, który już z nim nie mógł nic robić, zastawszy go bez zmysłów. Więc tylko mu dał absolucyą kondycyonalną, a razem poklęknąwszy z wszystkimi, mówił litanią za konających, podczas któréj Zaremba skonał. Zajączkowski chłopiec, który z swawoli, jako się potém wydał, tę fatalną zrobił psotę, aby sparzeniem prędzéj Zarembę wypłoszył z wanny i czas do spania tym sposobem sobie przyspieszył, zaraz w pierwszem zamięszaniu uciekł Zarembę pochowano w Rosprzy. Taki był koniec Zaremby, który mimo swoję obojętność z konsekwencyi przewidzianych pochodzącą, był jednak dobry żołnierz, a nadewszystko szczęśliwy. Jeżeliby mu to za wadę miało bydź poczytane, że szczerze nie bił, to przynajmniéj ochronę wojska swego cnotą nazywać można. Król dowiedziawszy

się o jego śmierci żałował go mocno, i rzekł do przytomnych: o Boże! jak niedościgły jesteś w wyrokach swoich, jak wiele masz rodzajów śmierci człowieka!«

Szymon Starowolski.

Wiek złoty literatury i potęgi narodowéj upływał; Wujek, Skarga, Knapski, Szymonowicz, Grochowski, Stryjkowski, Bielski, Klonowicz, Paprocki, Petrycy i tylu innych uczonych mężów, którzy byli ozdobą panowania Zygmunta Augusta i Batorego, zstępowali już do grobu i upadek nauk sporem przybliżał się krokiem; gdy Szymon Starowolski, jeden z najlepszych i najuczeńszych pisarzy naszych, ku schyłkowi 16go wieku na świat przyszedł. Ojcem jego był Bazyli Starowolski, matka Zofia Zarankowna. Szymon otoczony licznem rodzeństwem, nie mogący się po rodzicach innéj spodziewać puścizny, jak nieskażone imię, poznał wnet — mówi Siarczyński — iż los jego od postępu w naukach zależy. Oddany na akademią Krakowską przykładał się do nich z taką usilnością, iż w krótce celował między młodzieżą akademicką. Właśnie kiedy nauki w Krakowie kończył, młodzi książęta Konstanty i Janusz Ostrogscy wybierając się w podróż po krajach europejskich, potrzebowali do swego boku młodzieńca utalentowanego i nieskażonych obyczajów. Polecony im Starowolski zwiedził w towarzystwie tych paniczów Niemcy, Niderlandy, Francyą i Włochy. W Lowanium, Paryżu, Rzymie, Padwie, Wenecyi i innych miastach, kędy się książęta Ostrogscy nieco dłużéj zatrzymywali, Starowolski nieomieszkał uczęszczać do zakładów naukowych, ćwiczyć się w językach, wywiadywać się o formie rządu, obyczajach mieszkańców, o przymyśle, handlu, rólnictwie, i pożerać niejako wszystko, co pragnął widzieć w swojéj ojczyznie poprawionem, albo zaprowadzonem. Najmniejsza, błaha na pozór rzecz nie uszła jego bystréj uwagi. Tak np. w starości jeszcze przypomniał sobie naukę, którą mu pewien Belgijczyk dał w Lowanium z strony zbytków w jadle i napojach, i powtorzył ją narodowi w szacownem dziele swojem »R e f o r m a c y a o b y c z a j ó w p o l s k i c h«. »Ja,« mówi, »gdym był żakiem w Lowanium, w Niderlandzie, w Wigilią Bożego narodzenia, rozumiałem, że tak miał być stół potrawami zastawiony, jako u nas w Polszcze: alić gospodarz wszystkim nam stołownikom rozmaitych narodów i języków zgromadzonym, do wieczerzy tylko jednę misę dał polewki grochowéj, a po bułce chleba i po sklenicy piwa. A gdy wszyscy nic nie mówiąc, od stołu się roześli, my Polacy poczęliśmy z gospodarzem expostulować, czemuby w tak zacną wigilią tak słaby nam dał obiad? On na to: jeźli insze wigilie do świętych Bożych pościmy skromnym pokarmem posilając się, tedy wigilią do samego Zbawiciela świata, który się dla nas raczył stać człowiekiem, pogotowiu ze wszelką uczciwością i wstrzemięźliwością odprawować mamy: czego jako nierozstropni Sarmatowie jeźliście w ojczyźnie waszéj nie wiedzieli, tu się u nas nauczcie, ponieważeście tu do nas dla nauk i ćwiczenia waszego przyjachali.«

Po kilkuletnim pobycie za granicą powróciwszy Starowolski do kraju wezwany został od Gostomskiego, opata wąchockiego, aby młodym zakonnikom cysterskim wykładał filozofią. Starowolski przyjął wprawdzie to wezwanie, ale jednostajność życia zakonnego wnet go znudziła; z radością przeto opuścił zacisze klasztorne, gdy go Jan Karól Chodkiewicz, hetman wielki litewski na dwór swój przywołał. Będąc u bohatera tego sekretarzem, nieodstępował go do śmierci, a zapatrując się na przeważne jego czyny i korzystając z jego rozmów i uwag, bystry postrzegacz, napisał dzieło o sztuce wojennéj, które mu sławę nawet za granicą zjednało. Gdy Jan Karól Chodkiewicz w pamiętnéj wyprawie chocimskiéj życie pełne zasług zakończył, Starowolski czuł bardziéj jak ktokolwiek stratę wielkiego człowieka i w czułéj mowie łacińskiéj śmierć bohatera opłakiwał. Po śmierci Chodkiewicza Starowolski zwiedził trzykroć, jako dozorca i nauczyciel młodych paniczów, Niemcy, Włochy, Hiszpanią, Francyą i inne narody; ostatni raz z Alexandrem Koniecpolskim, synem sławnego Stanisława Koniecpolskiego, hetmana wielkiego koronnego, tym samym, którego złe obchodzenie się z Kozakami, a mianowicie z Chmielnickim, ściągnęło na naród za panowania Jana Kazimierza brzemię tylu klęsk i nieszczęść. Powróciwszy do kraju Starowolski zapragnął spokojności, porzucił dwory i już w dojrzałym wieku poświęcił się stanowi duchownemu, do którego za młodu się sposobił. W krótce za pomocą przyjaciół otrzymał plebanią i kanonią tarnowską, a późniéj nieco i kanonią krakowską. Spokojności atoli, któréj tak pragnął, aby się oddać całkiem naukom, nieznalazł w stanie duchownym. Albowiem Albert, syn Zygmunta III. objąwszy biskupstwo krakowskie, przybrał go sobie do rady w rządach duchownych. Następca Alberta, Żadzik, używał pomocy jego w najważniejszych sprawach duchownych i publicznych. Piotr Gembicki, który infułę krako-

wską po Żadziku otrzymał, uchodząc przed Szwedami z Krakowa do Śląska, powierzył mu zarząd dyecezyi i katedry krakowskiéj. Starowolski przyjmował Karola Gustawa, króla szwedzkiego, pragnącego oglądać groby królów polskich, i pokazywał mu je, opowiadając o każdego rodzie i losach. Zbliżyli się do grobu Władysława Łokietka: »Tego monarchę«, rzecze Starowolski, »los przeciwny trzy razy tron opuścić i udać się na tułactwo przymuszał.« Poznał Szwed, do czego te słowa zmierzały. »Wierzę temu,« przerwie Starowolskiemu, »ale wasz Jan Kazimierz, którego mocą oręża do opuszczenia tronu i kraju przywiodłem, już nań pewno nie wróci.« Na to Starowolski: »W ręku Boga są losy narodów i królów.« Usłyszawszy tak głęboką prawdę zamilkł Szwed, szybko przebiegł w ponurem zamyśleniu resztę nagrobków i rozstał się zimno z Starowolskim. Trudne okoliczności, w jakich się sprawy kościoła podczas najazdu szwedzkiego w dyecezyi krakowskiéj znajdowały, smutny stan ojczyzny, ciągłe i mozolne prace podkopały zdrowie Starowolskiego tak dalece, że już w roku 1656 umarł nagle, nie wzbyt podeszłym wieku. Opłakane to były czasy dla Polski! Tak wielki mąż, jakim był Starowolski, któryby za rządów Zygmuntów najwyższemi godnościami w ojczyznie i kościele był zaszczycony, nieznalazł nawet przyzwoitego pogrzebu, nie znalazł pomiędzy akademikami krakowskimi lub innymi uczonymi chwalcy, któryby uczcił godnie pamięć jego cnót i wielkich dla ojczyzny zasług. Wysadzony na powiedzenie mowy pogrzebowéj przy zwłokach Starowolskiego reformat Wolski, czuł tę krzywdę wyrządzoną pamiątce wielkiego męża i tak nad tem ubolewał: »To najboleśniejsza, że tych opłakanych czasów proporcyonalną takiemu prałatowi pompą i przyzwoitym nie możemy parentować apparatem. Dość ciężka persekucya za krwawych męczeńskich czasów była, a przecie Wawrzyńca świętego z apparatem dość okazałym i Cypryana świętego z ludną processyą i z wielkim pogrzebiono konkursem. Nam i processyą i konkursu i apparatu nie postne feriae, ale wojenne furye zabraniają. O gdyby był zegarek śmiertelny prałata tego na insze dociekające trafił czasów rewoluty, jakoby ten katafalk kondolentów zacnych, prześwietnych kollegów znaczna kondekorowała assystencya! jakoby i akademia krakowska panegirykami i neniami koncertowała i wszystek Kraków na tenby pogrzeb konkurrował! jakoby i tę ambonę wymowniejszy i godniejszy kapłan obsiawał!« Starowolski zostawił bardzo wielką liczbę dzieł uczonych, w których miał na celu bądźto chwałę i użytek swojéj ojczyzny, bądź poprawę obyczajów i rządu, bądź też rozkrzewienie w kraju pożytecznych wiadomości. Pracując z miłości ku ojczyznie i naukom, nie szukał zysku i wyniesienia, nie pochlebiał przeto nikomu i umarł w skromnéj mierności. Reformat Wolski w kazaniu na pogrzebie jego mianem słusznie uważa, że współczesni jego nie byli dosyć hojni dla wielkich dowcipów, gdy męża tak godnego ledwie wyżywili, a nie spanoszyli. Siarczyński wyliczył dzieła Starowolskiego i podał ich liczbę na 48. Opuścił przecież dwa nam znajome, to jest, Braterskie napomnienie ad dissidentes in religione (dziełko napisane z okoliczności rozmowy przyjacielskiéj w Toruniu) i Prawdziwe objaśnienie braterskiego napomnienia, (jestto odpowiedź na Przypkowskiego: Braterska deklaracya na niebraterskie napomnienie). Prócz tego jest Starowolski autorem kilku dziełek wyszłych bezimiennie w sporach stanu duchownego z świeckim. »W téj ilości dzieł Starowolskiego«, mówi Siarczyński, »aby wszystkie dokładnie i pilnie wypracowane były, byłoby żądać za wiele. Znaczniejsza przecie część ich jest, którym i wielkiéj wiadomości rzeczy i pracowitéj pilności odmówić nie można. Dziwić się tylko potrzeba, że mógł jeden człowiek w przedmiotach tak mało stykać się z sobą mogących, jak jest prawnictwo, umiejętność sztuki wojennéj, pobożny ascetyzm, muzyka, wymowa kaznodziejska i t. d. mieć tyle wiadomości i zdołać je pismem wystawić.« Niech jednak czytelnicy nie sądzą, aby wszystkie te dzieła obszernéj były objętości: przechodziłoby to siły moralne i fizyczne człowieka i niestarczyłoby na to wieku ludzkiego. Niektóre z pism Starowolskiego, jakto np. Pobudka na Tatarów; Napomnienie ad dissidentes in religione; Dyskurs o wojnie tureckiéj ledwie się z kilku kartek składają. Niewszystkie też mają rzetelną wartość; pisane z rozmaitych okoliczności i z natchnienia osób, które opinią publiczną kierować chciały, wylewane były przez Starowolskiego na papier bez należytego zgłębienia rzeczy; nie przeznaczał on ich też dla potomności; miały one chwilowe wrażenie sprawić, a potém pójść w zapomnienie. I los ten spotkałby był je niezawodnie, gdyby Starowolski imienia swego nie był wsławił kilkunastu dziełami niezaprzeczonéj wartości. Do tych należą między innemi: Polonia sive status Regni Poloniae, po kilkakroć przedrukowane; Institutionum rei militaris libri 8.; Monumenta Sarmatarum; Vitae antistitum Cra-

coviensium; Scriptorum Polonicorum hecatontas; De claris oratoribus; a nadewszystko Reformacya obyczajów polskich. Nad tem ostatniem zostanowiemy się nieco; chcąc bowiem wszystkie pisma Starowolskiego rozbierać, trzeba mieć niezmiernie rozległą i wielostronną naukę, trzeba bydź samemu drugim Starowolskim.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Koliszczyzna i Stepy, powieść przez Edwarda Tarszę. Wilno 1838.

Autor zamierzył sobie skreślić żywy obraz hajdamaczyzny, pożogów i mordów przez rozbeztwioną tłuszczę w zaślepieniu religijném spełnionych. Oto jest obraz ten w skróceniu; po czém zdanie nasze o dziele wynurzymy:

Oddaliłem się ode wsi daléj jak zwykle. Na końcu stepu zaczęły już się pokazywać lasy, a jadąc bez drogi, kierowałem się zwyczajnie z mogiły na mogiłę, zkąd są zawsze najpiękniejsze a przynajmniéj najrozleglejsze widoki. Nagle ujrzałem pod nogami jar głęboki udający się w stronę widzianych lasów. Chociaż było jasne zaranie, jar jednak osłaniała mgła tajemnicza. W części jaru u samego spodu mogiły leżącéj rosł las; takowe lasy po wąwozach, bajrakami w Ukrainie nazywają. Na przeciwnéj stronie, pomiędzy olbrzymiéj wielkości dębami, stała duża i porządna chata; niżéj troche pomiędzy gruszami i jabłoniami widna była dość liczna pasieka, a w saméj głębi błyszczała jak gdyby ukryta w zieleni żywa i przezroczysta krynica. Był to piękny ukraiński futor.

Chcąc konia napoić, zjechałem na dół i spotkałem się z poważnym starcem, który mnie życzliwie pozdrowił. W rozmowie dla mnie nader interessującéj wspomniał o koliszczyznie.

Pamiętasz więc koliszczyznę? może do niéj należałeś? — A, jeżeli należałem? Albo co? Ludzie wiedzą, że należałem, ale Bóg wie, że nie ma krwi niewinnéj na moim ręku. A jednakże, dodał, i za to samo, na co moje oczy patrzyły, Bóg mnie ciężko ukarał w tém życiu, a i w tamtém nie byłbym pewnym zbawienia, gdybym nie wiedział, że jest święta dusza tam wysoko, co się modli za mną przed Bogiem.

Kiedym doszedł wieku silnego wyrostka, krew kozacka zaczęła grać we mnie. Zacząłem się nudzić w naszéj słobodzie. Nieraz przychodziło mi na myśl porzucić chatę i udać się na Zaporoże, w Sicz, poznać więcéj świata i kozackiego chleba skosztować. Mój ojciec musiał się domyślać, co nosiłem w zanadrzu, bo szedł sam do pana i prosił, żeby mi na lat kilka wyjść ze wsi pozwolił. Jednego też wieczora ojciec doniósł mi o pozwoleniu pańskiém, radził, żebym się daleko nie odbijał od domu, a przyjął gdzie służbę u nadwornych kozaków, jakich wtedy panowie po dworach trzymali. Nazajutrz dał konia, nową odzież, kilka tynfów w kalitę i w imię Boże wyprawił.

Co mi się wydawało, kiedym pierwszy raz uczuł się na swobodzie! Głowa mi się kręciła od tylu błękitnego świata, w który mogłem za wolą oczów się udać.

Pierwsza moja służba była w zamku Smilańskim. Rządził wtedy dobrami kniaziów Lubomirskich Pan Wejher, mieszkający w Smile. Razu jednego z kolei stałem na koniu tuż pod oknami pańskiemi. Mamka z dzieckiem może pięcioletniém na ręku wyszła na podwórze. Wziąłem dziewczynkę od niéj (było to dziecie naszego gubernatora), objechałem z nią w okrąg dziedzińca. Dziecku to się podobało i zawsze napierało się do mnie, skoro mnie zobaczyło. Wołano też mnie często do pokoju, a pani stała się, dla mnie nie panią, ale rodzoną matką. Znali ludzie panią Smilańskiego Gubernatora. Była miłosierna i przystępna. Żebrak, podróżny szedł śmiało do niéj po jałmużnę i ci co z kluczów przychodzili w jakowym interesie do zamku, po wstawienie do pana; sama chodziła do chorego, do umierającego. Zanosiła lekarstwa, brała do siebie sieroty. W kilku miejscach pobudowała kościoły i kaplice; gdzie stał krzyż przy drodze, onato go postawiła; gdzie cmentarz był przystojnie ogrodzony, ona to go ogrodziła; dusza jéj w niebie tyle co i na ziemi. Jedyna jéj mała córeczka nazywała się Julka.

I pan nasz Weiher był dobry, choć troche dziwny. Nie umiał inaczéj patrzeć jak w ziemię. Wzwyczaił się był tak. Powiem zaraz od czego. Dobra Lubomirskich to był kraj wielki, ćwierć Ukrainy może! To też rządzca ich generalny nie była mała osoba. Gdyby był zechciał zostać bogatym, niechby się tylko schylił! Niechby z każdéj chaty w Smilańszczyznie wziął tylko po kilka złotych, mógłby sztabami srebra podłogę swojéj komnaty wymościć. A wziąść po kilka złotych z chaty było wtenczas nietrudno! Przychodziły wtedy gromady do pana z pełnemi miskami srebrnych pieniędzy, jak teraz z jajami. Ale on nic nie brał. Nic nikomu od chłopa brać nie pozwolił. Co innego miał na myśli! Trzeba wiedzieć, że ustawicznie szukał zakopanych pieniędzy. Spodziewał się znaleźć takie skarby, że zakupi nietylko Lubomirszczyznę, ale całą Ukrainę.

To też rozkopywał tylko mogiły, szukał poznak, wyszukiwał uroczysk. Kto w nocy śpi, myśmy się włóczyli po polu ze świdrami, z łańcuchami, z rydlami. Ciągle zwlekali się do nas, Bóg wie zkąd, ludzie: Starce z Zaporoża i Niżu, co mówili sami lub ich ojcowie pokazywali na naszych stepach skarby, Znachory, Wołochy, Cygani nawet, każdy wiedział wszystkie przyznaki miejsc, gdzie leżą pieniądze, każdy na własne oczy widział je palące się, śniło mu się o nich, ledwie że nie dotykał się ich; a pan im wierzył, przyjmował do zamku, karmił, obdarzał; a kiedy naszamotawszy się z wiatrem porwistym, co gasił nasze laternie, i z diabłem, co nas obłędem swoim w polu tumanił, rozkopaliśmy jaką mogiłę, znajdowaliśmy zamiast złota, kości ludzkie lub końskie, czasami szable spróchniałe, czasami strzały lub żeleźca od ratyszca. Tak przez rok mojéj służby zjeździłem wśród najciemniejszych i najsłotniejszych nocy wszystkie pola Smilańskie; aż nareszcie jednéj nocy, kiedy znużony tygodniową prawie włóczęgą, dokopałem się znowu razem z drugiemi jakiejś staréj dębowéj trumny, nie wytrzymałem dłużéj, rzuciłem na ziemię ryskal i zacząłem głośno przeklinać psią robotę. Znachor, co nas wodził, powiedział wtedy panu, że oto pokazuje się, dla czegośmy daremnie pracowali, że między nami była nieufna dusza i że dla tego diabeł przemienia kruszec i drogie kamienie w kości i stare żużle. Te słowa tak rozzłościły pana, że rzucił się na mnie jak wściekły i byłby mnie zabił na miejscu, gdybym się nie był umknął; zaklął się wtedy, że mnie na szubienicy bez prawa powiesi, jeżeli kiedykolwiek natknę mu się na oczy. Nie było co probować, czy dotrzyma słowa, u téjże więc saméj rozkopanéj w głuchym stepie mogiły rozstałem się na zawsze z służbą Smilańską.

Krewni matczyni nastręczyli mi zaraz miejsce u starościńskich Kozaków czerkaskich. Było tam w zamku troche ratajów, więcéj zaś nas kozactwa, nosiliśmy barwę starosty naszego kniazia Sanguszka. Nastałem w jesieni do Czerkas, zima upłynęła mi spokojnie, karność między nami była jak u żołnierzy; słuchaliśmy rozkazów gubernatora naszego, Pacyny. Lach był wysoki, chudy, podgolony jak słonecznik; pasa nie było mu na czém nosić. Z tém wszystkiém srogi. Ku Wielkiéj Nocy zaczęło się coś dziwnego między ludźmi wykluwać. Pojawiły się nie wiedzieć zkąd słuchy o buncie, o rzezaninie. Ludzie schodzili się w kupy i powierzali sobie jakieś wiadomości w pół głosu. Po mieście, po zamku nawet spotykałeś snujących się nieznajomych ludzi podejrzanéj postaci i którym z twarzy po zbojecku patrzyło. Z za rzeki przybywali i już nie wracali do siebie, ale zostawali u nas po przysiołkach, futorach. Mówiono, że wróci Kozaczyzna, hetmańszczyzna, swoboda, że trzeba wyrznąć Lachów i Żydów. Takie słowa najprzód ślizgały się po jarmarkach, od-

pustach, karczemnych schadzkach, jak błyskawica przed burzą, potém jak grzmot zaczęły grzmieć i rozlegać się bez przestanku. Mieszczanie czerkascy, atamani i starsi nasi zhardzieli i podnieśli głowy. Lachy się zastraszyli; sam pan nasz spuścił z butnéj i pogardliwéj miny.

W sam Wielki tydzień zaczęto rozpowiadać po mieście, że w motreneńskim monastyrze poświęcono noże, że hajdamacy zbuntowali cały jarmark medwedawski; zaczęto się odzywać, że i czerkascy Kozacy nie będą prząść kądzieli wtedy, kiedy przyszła pora wybierać kąkol z pszenicy. Aż oto jednéj nocy postrzegliśmy wielki ogień w górze na Dnieprze: to zamek Kaniowski palili hajdamacy. Musiał przewidzieć pan Pacyna, jacy goście idą do Czerkas i ile na Kozaków nadwornych polegać można, bo zaraz zrana w kilkanaście koni rajtaryi z Lachów złożonéj, opuścił zamek i poszedł w głąb Polski.

Otoż ledwie opadł pył, co z pod nóg rajtaryi powstawał, z drugiéj strony zawitali do nas nowi przybysze, hajdamacy. Szli całym taborem i pieszo i konno i wozami, z kosami, z pikami, jaki taki z samopałem lub rusznicą. Wszyscy byli w pyle i w pocie, niektórzy we krwi, bo mówili, że im na Irdyniu zastępowali Lachy. Nasza i miejska starszyna przyjęła hajdamaków jak dobrych przyjaciół, rozłożyli się więc na środku miasta, pili, bunkietowali; ten i ów mówił do ludu, namawiając rznąć Lachów i Żydów, a wtedy wszyscy będziemy panami i bogatymi. Nie mało też czerni z bronią i bez broni przystało do nich, a z drugimi i my wszyscy Kozacy starościńscy, bo nas atamani do tego prowadzili.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd czasopismów.

Muzeum domowe przez F. S. Dmóchowskiego, rok 1838. Luty. 8vo.

Nie jest to już ów istotny magazyn, gdzie obok wytwornych lub prawdziwie użytecznych przedmiotów, liche mieściły się graty, zebrane jedynie dla nieświadomych, którzy nic lepszego nie znają. Nie, teraźniejsze Muzeum odznacza się poprawnością stylu, (gdy dawniéj po większéj części żakowskie umieszczało tłumaczenia,) doborem artykułów światlejszych czytelników interesujące.

Ostatni zeszyt zawiera: Piąty akt, drama w jednym akcie przez Józefa Korzeniowskiego, wystawione na teatrze Warszawskim, najnowszy płód tego najznakomitszego dramaturga naszego. Józef Korzeniowski, dawniéj Prof. wymowy w Krzemieńcu, teraz w Kijowie, lubo dotąd nie uiścił jeszcze całkowicie wielkiego oczekiwania, iż się stanie twórcą z takiém upragnieniem wyglądanego dramatu polskiego; to jednak tém, co już dotychczas utworzył, sobie lub innym do dostąpienia tego najwyższego zaszczytu pewną utorował drogę. W jego dramatach powiewa prawdziwy duch Szekspirowski, charaktery ręką mistrzowską kreślone, nabierają przez śmiałe, wydatne rysy prawdziwego życia.

Dramata jego już drukiem ogłoszone są: Mnich, Klara i Aniela. W Birucie, noworoczniku wydanym w roku zeszłym w Wilnie, czytaliśmy wyjątki z dwóch tragedyi: Blanka Orsino i Wróżba i Zemsta.

Inne artykuły w wzmiankowanym zeszycie są: Wrażenia podróży przez Alex. Dumas; Pobyt u wód w Baden, Karlsbad i Toeplitz, z Angielskiego; Ducornet, malarz bez rąk, z ryciną wyjętą zapewne z Przyjaciela Ludu kompozycyi Pana Simona z Poznania; o wielkich epidemiach.

Doniesienia literackie.

Znany powszechnie jako znawca i opiekun muzyki w Warszawie pan Józef Cichocki, redaktor dziennika muzycznego, zajmuje się obecnie wydaniem zbioru dawnych kościelnych kompozycyj polskich. W pierwszym zeszycie znajduje się ośm psalmów Gomułki z r. 1580., w drugim msza Grzegorza Garczyckiego.

W numerze 2gim wspominając o Bulwerze, Ernest Maltraversa jako ostatnie dzieło tego autora wymieniliśmy, wyczytujemy jednak z doniesień bibliograficznych angielskich, że Bulwer w ostatnich dniach przeszłego miesiąca nowe dzieło pod nazwą »Alice czyli tajemnica« ogłosił. Wydał także nową dramatyczną sztukę p. t. The lady of Lyons, która od publiczności z oklaskami przyjętą była.

Nieboską komedyą przełożono na niemiecki język. Trudne zaiste zadanie! Ciekawi więc jesteśmy tego tłumaczenia.

O zapowiedzianém przez Breitkopfa i Haertla nowém wydaniu dzieł Niemcewicza nic nie słychać.

W téj chwili otrzymała redakcja Tygodnika od szanownego towarzystwa przyjaciół starożytności północnych w Kopenhadze list wraz z kilku nadesłanemi, bardzo zajmującemi dziełkami, o których w najbliższych numerach zda sprawę.

Rozmaitości.

Wierz tu kobiecie! W pewnym romansie Chińskim, (bo i tam najwięcéj piszą romansów,) znajdujemy następującą dość komiczną anegdotę: Pewien uczeń sekty Tautse czyli Doktorów rozumu, zanurzony w posępném dumaniu, poszedł raz wieczorem na przechadzkę, pomiędzy smutne smętarza grobowce. Tutaj postrzega przy świeżym jednym grobowcu młodą damę, wylewającą łez obfitych zdroje a oraz dużym wachlarzem świeży mur pilnie owiewającą. Nasz filozof rozumiał z początku, że to pokuta, którą sobie sama pani na intencyą zmarłego zadała. Rozczulony jéj przywiązaniem, przystępuje bliżéj i ośmiela jéj się zapytać o przyczynę tak rozrzewniającego postępku. Ah, odpowiedziała młoda dama ze łzami, widzisz we mnie nieszczęśliwą wdowę, pogrążoną w głębokim smutku po śmierci najukochańszego męża. Mój drogi mąż żegnając się ze mną na łożu śmiertelném, rzekł do mnie te ostatnie słowa: Kochana żono! gdybyś miała zamiar pójść drugi raz za mąż, zaklinam cię na wszystko, poczekaj przynajmniéj, aż wapno na mym grobowcu wyschnie! A tak, dodała ta kochana żona, muszę je wachlarzem machając suszyć, bo widzisz, jak jeszcze strasznie mokre!

Myśli i Ucinki.

Mówicie: ów występny szczęśliwy, a ów cnotliwy pogrążony w nieszczęściu. Powiedzcie raczéj: ów występny jest bogaty, potężny, otoczony sług tłumem i nie masz rozkoszy, którejby mu użyć nie było wolno. Ten zaś sprawiedliwy, ubogi, opuszczony, uwięziony, może i głodem ściśniony. Odsłoń przecie ich serce, a znajdziesz przeciwnie. Bez moralności nie masz i nie może być szczęśliwości.

Człowiek znosi częstokroć małe nieszczęście niecierpliwiéj niż wielkie, i ten właśnie nie należy do najnieszczęśliwszych, którego zawsze coś nowego dolega. Kto wiele i ciężko cierpi, tego usta są zamknięte.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 4 Talary rocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*